

CYNTHIA MURPHY

WYGRAJ ☐

PRZEGRAJ ☐

ZABIJ ☐

ZGIŃ ☒

4YA

Fragment darmowy udostępniony
przez Wydawnictwo w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2023

www.zielonasowa.pl

WYGRAJ

PRZEGRAJ

ZABIJ

ZGIŃ

CYNTHIA MURPHY

~~WYGRAJ~~

☐

~~PRZEGRAJ~~

☐

~~ZABIJ~~

☐

ZGIŃ



PRZEKŁAD: KAROLINA POST-PAŚKO

Tytuł oryginału: *Win Lose Kill Die*

Tekst: Cynthia Murphy

Przekład: Karolina Post-Paško

Redaktor prowadząca: Aleksandra Gronowska

Redakcja: Agnieszka Luberadзка

Korekta: Aleksandra Dąbala, Katarzyna Sarna

Opracowanie graficzne okładki: Monika Nowicka

Skład: Małgorzata Ćwieluch

First published in UK by Scholastic Ltd, 2022

Text © Cynthia Murphy, 2022

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2023

All rights reserved

Wydanie II

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej
zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8240-583-5

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

kontakt@books4ya.pl

www.books4ya.pl

Dla moich chrześniaków:

*Kyli Somerville,
Graysona Coffeya,
Dominica Kelly'ego,*

...pamiętajcie, by zawsze podążać za swoimi marzeniami



Ta pierwsza dziewczyna wcale nie miała zginąć.

Słowo daje.

Ale okazało się to... takie proste. Już i tak była w wodzie, a po zanurzeniu rąk, żeby jej pomóc, nagle... mi się odwidziało.

Coś we mnie pękło.

Jej głowa znalazła się pod powierzchnią i wystarczyło już tylko przytrzymać i zaczekać, aż nasza mała prymuska przestanie się szamotać.

Trwało to dłużej, niż można by się spodziewać, a potem... po prostu unosiła się na wodzie. Bezwładna. Żałosna.

Eksperci uznali to za „nieszczęśliwy wypadek”. W zasadzie mieli rację. Powtórzę: jej śmierć nie była zaplanowana.

Ale jakże satysfakcjonująca.

2

Nie mogę uwierzyć, że znowu tu jesteście.

Lato pamiętam jak przez mgłę z powodu urazu głowy, który zaliczyłam pod koniec poprzedniego semestru. Zamiast imprezować na plaży z przyjaciółmi do białego rana, jak planowałam, byłam przesłuchiwana przez policję i zmagalam się z zespołem stresu pourazowego. Ostatni dzień roku szkolnego zaczął się idealnie, a potem...

– Liz. – Ostre syknięcie i szturchnięcie w bok przywołuje mnie do rzeczywistości.

Taylor, wyprostowana jak struna, wbiła swoje piękne orzechowe oczy w podium i odgrywa przed całym światem pogrążoną w żalobie. Naśladując ją, podążam wzrokiem ku dużym sztalugom opasanym żalobnym kirem. Ustawiona na nich fotografia przedstawia Morgan.

Uczennicę, która utonęła w lipcu.

– Skup się – cedzi Taylor półgębkiem, zupełnie jak jakaś upiorna lalka brzuchomówcy. Przychodzi jej to zupełnie bez wysiłku – żaden mięsień na jej twarzy nawet nie drgnie.

Najwyraźniej mimo tych wszystkich pobytów w szpitalu jeszcze nie doszłam całkiem do siebie. Naprawdę próbuję się skupić, ale odpływam myślami, a słowa dyrektorki zlewają się w jedno długie kazanie, akcentowane piskiem gumowych obcasów na parkiecie. Do wnętrza budynku przenika już jesień, powietrze pachnie deszczem, wilgocią i świeżo wypranymi mundurkami.

Przyglądam się fotografii. Morgan była ładna, trochę przypominała Reese Witherspoon ze *Szkoły uwodzenia*. Sprawiała wrażenie uroczej i niepozornej, ale wiem, że to totalna ściema. W rzeczywistości Morgan miała charakter jadowitej żmii. Lepiej było jej nie podpaść – jeśli tylko chciała, potrafiła zamienić twoje życie w Morton w piekło. To ona wpadła na pomysł, żeby tamtej nocy wypłynąć żaglówkami na jezioro, to był jej wielki moment zaraz po zaprzysiężeniu na prefektkę naczelną. O ile dobrze pamiętam, zmusiła do tego większość dziewczyn, chociaż muszę przyznać, że pamiętam niewiele. Nie po wywrotce.

Doktor Patel, dyrektorka szkoły, kończy swój monolog prośbą o minutę ciszy. Obok niej stoi kilku członków grona pedagogicznego – niektórzy nauczyciele płaczą, ocierając twarze chusteczkami. Czarny garnitur

dyrektorki jest zachowawczy, odpowiedni na uroczystość żałobną, a jednocześnie bardzo stylowy i zestawiony z zabójczymi szpilkami. Podziwiam każdego, kto potrafi chodzić na tak wysokich obcasach, nie wspominając już o kierowaniu w nich jedną z najbardziej elitarnych szkół z internatem w kraju. W porównaniu z doktor Patel reszta kadry wygląda niechlujnie. Spoglądam na zegar, chwytając się lekko na nogach. Całe lato spędziłam w łóżku na oglądaniu filmów z lat dziewięćdziesiątych i odwyklam od tak długiego stania.

Taylor nie zwraca na mnie uwagi, ma spuszczoną głowę i zamknięte oczy. Ideal uczeniwy. I żałobnicy. Długie, naturalnie rude włosy opadają jej na plecy i rozsypują się na szarym tweedzie marynarki. Morton Academy ma swoją Cheryl Blossom¹, która stoi tuż obok mnie.

Doktor Patel kończy uroczystość i zgromadzenie w milczeniu ruszają w stronę wyjścia.

– No więc – szepczę, gdy czekamy na naszą kolej, żeby opuścić aulę – jakie to uczucie?

Taylor spogląda na mnie, kiedy wychodzi przez wysokie drewniane drzwi na korytarz, ale jej uśmiech nie sięga oczu.

– Ale co masz na myśli? Jakie to uczucie nie zostać prefektką naczelną? Otrzeć się o pełne stypendium i obejść się smakiem? Wspaniale, dziękuję, że pytasz.

¹ Cheryl Blossom – jedna z bohaterek serialu *Riverdale* (przyp. tłum.).

– Daj spokój. Jesteś zastępczynią! To też niezła fucha. Poza tym – zniżam głos, chociaż wszyscy dookoła też już zaczęli rozmawiać – wiesz, co to oznacza. Wicenaczelną Stowarzyszenia Klejnotu i Kości może przebierać w uniwerkach.

Teraz uśmiech Taylor dosięga oczu.

– Tak, wiem. Wiele sobie obiecuję po tym roku szkolnym. Jeśli uda mi się znaleźć odpowiedniego sponsora, oczarować właściwą bogatą osobę, nie będę musiała się wysilać przez całe studia. Pomyśl o tych wszystkich ludziach, których poznamy, spotkaniach, w których weźmiemy udział...

– Chyba ty – poprawiam ją, uśmiechając się z żalem. – Część przywilejów dotyczy tylko prefektów naczelnych i ich zastępców, pamiętasz?

– Tak, przepraszam. – Zawstydzona Taylor przygryza wargę, unikając mojego wzroku. – Wiem, że gdybyś nie pomogła mnie i Kat podczas podchodów, skończyłabyś dużo szybciej niż my. To właśnie twoje zaprzysiężenie odbyłoby się dzisiaj i...

– Cześć, piękna! – przerywa jej głęboki głos i na nasze barki opada dwoje potężnych ramion.

Nawet się z tego cieszę. Zapach wody kolońskiej Marcusa jest tak silny, że zaczynam kaszleć, ale Taylor rozpromienia się na widok chłopaka. Uciekam spod jego ramienia, żeby tych dwoje mogło się przywitać.

– Skąd te poważne miny? – Marcus wygląda świetnie, chyba wysypiał się w wakacje. Tylko pozazdrościć.

– Takie tam pogaduchy o życiu i śmierci. – Taylor zbywa go machnięciem zadbanej dłoni. – Przez pół godziny wybierałam odcień szminki, który nie gryzlby się z kolorem wiązanek pogrzebowych. – Taylor rozgląda się ukradkiem. – Właściwie to rozmawialiśmy o wieczornej ceremonii w KK. – Staje na palcach, żeby go pocałować. – Twoja dziewczyna pnie się do góry.

– Wiem o tym. Ale nadal uważam, że to ty powinnaś trafić na sam szczyt, a nie Jameela. Gdybym tylko mógł jakoś pomóc... – Marcus wychodzi z auli razem z nami, ale gdy tylko ruszamy korytarzem w stronę holu wejściowego, przestaje go słuchać.

Ależ ja się stęskniłam za tym miejscem. Robię głęboki wdech, jak gdybym chciała odetchnąć samą esencją Morton. Uwielbiam to poczucie przynależności, bycia jednym z garstki dzieciaków z całego kraju, którym zaproponowano naukę w tym elitarnym dwuletnim college'u. Nieważne, kim jesteśmy ani skąd pochodzimy – trafiliśmy tu dzięki naszym uzdolnieniom. Bogaci czy biedni, w Morton to bez znaczenia. Wszyscy znaleźliśmy się tutaj, bo jesteśmy cholernie bystrzy – i prawda jest taka, że większość z nas inaczej nie otrzymałaby takiej szansy. Szkoła znajduje się na kompletnym odludziu i wymaga zamieszkania w internacie. Możemy korzystać z internetu wyłącznie pod

nadzorem – to jedna z cech wyróżniających Morton: stara dobra praca z podręcznikiem. Coś się traci, coś się zyskuje.

Muszę powtórzyć sobie w duchu, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nad nami wznosi się wysokie kamienne sklepienie, nasze buty stukają cicho na starej kamiennej posadzce, gdy mijamy uczniów w szarych marynarkach ozdobionych jaskrawozieloną lamówką. Mahoniowa boazeria błyszczy w promieniach słońca wpadających przez wysokie okna, przez które widać rozległe, zadbane ogrody. Mijamy gabinet pani dyrektor i ruszamy w górę po ogromnych schodach giętych, na których zawsze czuję się jak bohaterka filmu Disneya. Lśniący poręcz jest tak wypolerowany, że aż śliska. Cała szkoła pachnie drewnem i cytrusami, a ja uwielbiam ten zapach. Tak pachnie dom.

– Pospiesz się, Liz. – Marcus i Taylor przyglądają mi się z rozbawieniem z wysokości piętra, a ja uświadamiam sobie, że musiałam na chwilę odpłynąć. – Przestań bujać w obłokach.

– Przepraszam. – Pochylam głowę, żeby ukryć płonące policzki, i pokonuję pozostałe stopnie po dwa naraz, dopóki nie stanę pod ogromnym witrażem. Ruszam powoli za Taylor i Marcusem i przez wielkie podwójne drzwi wchodzimy do zachodniego skrzydła. Właśnie tak: zachodniego skrzydła – oto jak wielka jest szkoła.

Na tym piętrze mieszczą się sale lekcyjne, a ponieważ zajęcia z przedmiotów ścisłych odbywają się tuż obok

humanistyki, odprowadzam wzrokiem idealną parę, a potem wchodzę do swojej klasy. Filologia klasyczna to mój przedmiot wiodący – w sumie mamy trzy, ale zostaliśmy wybrani właśnie ze względu na ten jeden. To coś w rodzaju specjalizacji, którą będziemy kontynuować na uniwersytecie, może nawet zaliczymy szybciej rok. Morton ma najwyższy poziom nauczania w kraju, więc oczekiwania też mamy wysokie. Klasa jest prawie pusta, uroczystość zakłóciła plan zajęć w pierwszym dniu nowego roku szkolnego, więc wybieram środkową ławkę pod oknem, skąd roztacza się widok na rozległą połąć jeziora.

Jezioro.

Morgan.

Zrywam się, a skóra cierpnie mi od wspomnień tamtej nocy, usiłujących wydostać się na powierzchnię. Przesiadam się do ławki po drugiej stronie sali, jak najdalej od okna.

Klasa zapełnia się powoli i z zadowoleniem odnotowuję, że jest nas mało – klasy w Morton nigdy nie są liczne, bo co roku szkoła przyjmuje najwyżej pięćdziesiąt osób. Nauczyciel pojawia się jako ostatni i z radością odkrywam, że znów będzie nas uczył profesor Insoll. To człowiek legenda – przynajmniej w świecie starożytnych religijnych artefaktów. Wcześniej wykładał na uniwersytecie, ale Morton musi nieźle płacić – poza tym

chyba przyjemniej uczyć spragnioną wiedzy młodzież niż wiecznie skacowanych studentów.

Zaczynamy od omówienia spraw organizacyjnych: nowe podręczniki, grafik zadań domowych, których jest absurdalnie dużo, oraz kalendarz egzaminów semestralnych. Jestem pochłonięta podpisywaniem nowych książek, gdy na moim biurku ląduje jakaś kartka.

– Podaj Jameeli – syczy ktoś.

Jameeli? Hm. Zastanawiam się, czy ma to związek z Klejnotem i Kością, może to coś o pierwszym spotkaniu z darczyńcami, gdzie będziemy mieli okazję poznać przyszłych sponsorów, którzy sfinansują nasze studia, ale wystarczy mi szybki rzut oka, by upewnić się, że w klasie nie ma nikogo wtajemniczonego. Wzruszając ramionami, podaję świstek Frankowi, na wypadek gdybym jednak się myliła. Nie mogę przekazywać potencjalnie sekretnych wiadomości pierwszej lepszej osobie.

– Podaj Jameeli – wymawiam bezgłośnie, wskazując ruchem głowy dziewczynę o długich ciemnych warkoczach, która siedzi w ławce przed nim. Powracam do składania zamaszystych podpisów, zapominając o karteczce.

Dopóki Jameela nie zerwie się z krzykiem z krzesła i nie upuści jej na podłogę, jak gdyby oparzyła ją w palce.



– I co potem?

– Nic. – Wzruszam ramionami.

Taylor wybucha ponurym śmiechem.

– Oczywiście Jameeli zrobienie takiej sceny uszło na sucho – zrzędzi. – Jakim cudem Insoll nie skonfiskował wiadomości?

– Od razu ją schowała i powiedziała, że na jej biurku był pająk.

Milkniemy na chwilę, a ja wsłuchuję się w przyjemny chrzęst żwiru pod moimi nowymi butami, w miarę jak oddalamy się od budynku szkoły. Oglądam się za siebie, patrząc, jak staje się coraz mniejszy, a niezliczone okna odbijają późnopołudniowe słońce w stu różnych kierunkach.

Odwracam się i uśmiecham do Taylor, przypominając sobie, jak szliśmy wtedy po raz pierwszy. Wciąż mamy na

sobie mundurki – to wymóg stowarzyszenia – i sztywna welna plisowanej spódniczki laskocze mnie przy każdym kroku, gdy staram się nadażyć za przyjaciółką.

– Sprawiała wrażenie roztrzęsionej – stwierdzam. – Ciekawe, co było w tej wiadomości. Dlaczego jej nie przeczytałam? Przecież miałam ją w ręku!

– Bo jesteś Liz Williams, najmilszą dziewczyną w całym Morton.

Przed nami ukazuje się główna brama kampusu o ogromnych metalowych skrzydłach, które chronią nas przed prawdziwym światem, więc Taylor skręca w lewo. Schodzimy z drogi na starannie przystrzyżony trawnik i kierujemy się w stronę gęstego zagajnika. Taylor ma, oczywiście, rację. Jestem miła.

– Chciałaś powiedzieć „nudną”? – pytam.

Taylor zatrzymuje się i bierze mnie pod rękę.

– Nigdy. – Z szerokim uśmiechem trąca mnie biodrem. – Jesteś moim moralnym kompasem, Lizzy. Co ja bym bez ciebie zrobiła? A poza tym to na bank była jakaś jej goła fotka z ubiegłego roku.

Ma rację, w obu kwestiach.

– Chodź – wzdycham. – Nie chcemy się dzisiaj spóźnić.

– Racja.

Taylor wypuszcza moją rękę, bo docieramy do gęsto zalesionej części kampusu. Przytrzymuje mi drewnianą

furtkę, a ja po raz ostatni ogłądam się, żeby sprawdzić, czy nikt za nami nie idzie. Długa droga dojazdowa jest pusta, w oddali widać miniaturowy budynek szkoły. Dochodzi dziewiętnasta, jest już po kolacji, więc wszyscy pozostali odrabiają lekcje. Doskonale. Obie ignorujemy tabliczkę z napisem „ZAKAZ WSTĘPU” przybitą do łuszczącego się drewna – nas on przecież nie dotyczy – i wkraczamy w mrok między drzewami.

Istnienie tej części kampusu odkryłam dopiero ubiegłego lata, po tym, jak na naszych poduszkach pojawiły się zagadki. Kierując się rozrzuconymi po całym budynku wskazówkami, trafiliśmy w to miejsce. Prawie nikt tutaj nie zagląda i chyba o to właśnie chodzi. Reszta kampusu wygląda jak z obrazka: trawa zawsze równo przyszytyżona, grządki świeżo skopane, żywopłoty przycięte. Ta część przypomina dziki las z baśni, pełen trzasku łamanych gałązek i tupotu stóp. Jak na zawołanie przed nami pojawia się wiewiórka, jej puszysty ogon drga w tym samym rytmie co malutki nosek, postawione uszy nasłuchują czujnie. Przygląda się nam odważnie, a gdy tylko się poruszymy, czmycha.

– Jaka słodka! – szepczę.

– Dlaczego mówisz szeptem? – odpszeptuje Taylor.

– A ty? – Chichoczę.

Taylor przewraca oczami, ale mój śmiech jest zaraźliwy i widzę, że kącik jej ust zaczyna drgać.

– Przestań – karci mnie szeptem i obie wybuchamy niemyym śmiechem. To na pewno z nerwów. Poprzednim razem byliśmy tutaj tamtej nocy.

Śmiech zamiera mi na ustach.

– Hej. – Taylor przystaje. Czasami mam wrażenie, że potrafi czytać mi w myślach. – Jak się czujesz? Jesteś na to gotowa?

– Tak. – Ton mojego głosu jest stanowczy i niewzruszony, chociaż tak naprawdę mam wątpliwości. Kiedy Taylor wyciąga do mnie rękę, na sekundę wzrok mi się mgli i widzę Morgan, jak sięga rozpaczliwie z czarnej toni.

A potem znów widzę dłoń Taylor o idealnie opilowanych paznokciach, a nie sinych i ociekających rzęsą. Wpatruję się w przyjaciółkę, dopóki z westchnieniem nie opuści ręki.

– No to chodźmy. Nie możemy się spóźnić. Wiesz, jaką ona wagę przykładą do punktualności. Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę poczarować tych wszystkich bogatych darczyńców, kiedy wreszcie zaczniemy się z nimi spotykać. Podobno w ubiegłym roku dwie laski, które spóźniły się na spotkanie, za karę musiały serwować przez całą imprezę kanapki...

Wchodzimy głębiej między drzewa, więc pochylam głowę pod zwieszającymi się nisko gałęziami, żeby nie wplątały mi we włosy swoich kościstych palców. Tutaj ścieżka jest wąska, po obu jej stronach rosną dzikie

orchidee, które są wyższe od nas. Wystawiają ciemnofioletowe języczki, gdy je mijamy, a ich mdląco słodka woń, odór rozkładu, wwierca się w nozdrza. Trzeba było pójść inną ścieżką, tą lepiej utrzymaną, ale tamta biegnie brzegiem jeziora, a ja wolę się do niego nie zbliżać. Taylor specjalnie wybrała tę drogę – wie, że unikam jeziora. Dziękuję jej w myślach.

Drzewa przed nami się przerzedzają i przez zarośla zaczyna prześwitywać szary mur z grubo ciosanych kamieni. Rosnące tu jeżyny zdziczały i mój mózg przywołuje wspomnienie starego filmu na DVD, który kiedyś w kółko oglądałam, gdzie wiedźma przeklina Śpiącą Królową i jej zamek obrasta żywopłotem z cierni. Ale te tutaj wydają się nas zapraszać, splecione w taki sposób, że tworzą nad nami coś w rodzaju bramy. Pochylamy głowy i przechodzimy pod nimi, a potem krótką kamienną ścieżką docieramy do starych drewnianych drzwi, gdzie przystajemy, żeby złapać oddech.

– Gotowa? – pytam szeptem.

Taylor ściąga łopatkę i kiwa głową.

– Gotowa.

Popychamy drzwi, które, choć wyraźnie bardzo stare są dobrze naoliwione, i w milczeniu wchodzimy do kaplicy. W środku jest ciemno, grube mury natychmiast tłumią wszelkie dźwięki pochodzące z zewnątrz. Delikatnie zamykamy drzwi za sobą i czekamy, aż nasze oczy oswoją się

z pelgającym blaskiem świec ustawionych na drugim końcu nawy. Ktoś mógłby pomyśleć, że to działający normalnie kościół, a nie przykrywka dla zupełnie innej działalności. Ale o to właśnie chodzi.

Ruszam za Taylor nawą, ale przystaję na chwilę przed ołtarzem, aby jak na grzeczną dziewczynkę po katolickiej szkole przystało, dygnąć i pochylić głowę, a potem doganiam przyjaciółkę przy następnych drewnianych drzwiach. Znajdują się za ołtarzem, zazwyczaj ksiądz znika za nimi po mszy. Przechodzimy przez nie bez słowa i jak zwykle czuję, że robimy coś niedozwolonego, ale powtarzam sobie w myślach, że to nie jest prawdziwy kościół, i z pochyloną głową mijam inne osoby. Zatrzymujemy się na końcu pomieszczenia, przed jedną z drewnianych ławek ustawionych wzdłuż ścian. Umysł powraca do mojego ostatniego pobytu tutaj, przywołując strzępy wspomnień. Kaluża wody na wytartej kamiennej posadzce. Morgan, jej pozbawiona wyrazu twarz, sine wargi...

Potrząsam głową, mocno. Nie. Nie teraz. Lekarz ostrzegał mnie, że może mnie to spotkać po powrocie do Morton, ale nie spodziewałam się, że fala wspomnień zaleje mnie tak szybko.

Zdejmuję marynarkę, wiem ją starannie na kolku i przesuwam palcem po inkrustowanej klejnotami szpilce wpiętej w wewnętrzną kieszeń na wysokości serca.

Z uśmiechem przypominam sobie, jak znalazłam ją na poduszce, wbłą ostrym końcem w zaproszenie do udziału w podchodach. Wyglądam spódnice i upewniam się, że koszula jest schowana do środka, chociaż i tak nie będzie tego widać. Dopiero wtedy podnoszę z ławki długą, złożoną szatę i przekładam ją przez głowę. Wyjmuję z kieszeni marynarki szpilkę o lebkę w kształcie czaszki. Ostre kamyki kłują mnie w palce, gdy przyczepiam ją do szaty. Gruby aksamit obleka moje kształty, zasłaniając mundurek i spływając aż do ziemi. Odgarniam włosy za uszy i naciągam głęboko kaptur, tak że moja twarz ginie w jego cieniu. Spoglądam na Taylor, teraz ukrytą pod identyczną szatą, a potem ruszam za nią i innymi zakapturzonymi postaciami w dół schodów ukrytych w ciemnym kącie pomieszczenia.

Do krypty.

Podążam za mroczną procesją na sam dół i jak zwykle jestem ostatnia. Czekam, aż wszyscy pozostali zajmą miejsca, a kiedy przychodzi moja kolej, wchodzę na wąską rampę. Stoję na podwyższonej kamiennej ścieżce tworzącej okrąg, od którego odchodzą ku środkowi kolejne ścieżki, co z góry przypomina szprychy koła. Brzeg mojej przydługiej szaty moczy się w stojącej wodzie i mam wrażenie, że jakieś lodowate palce sięgają przez aksamit, jak gdyby chciały mnie złapać za kostki

u nóg. Odpędzam tę myśl i wreszcie docieram do mojego cokołu, aby zająć swoje miejsce w kręgu.

Staram się nie zwracać uwagi na trupa w samym jego środku.

4

Stoję z pochyloną głową, ukryta w moim kokonie z aksamitu i lodowatego chłodu. Powietrze wokół mnie stopniowo zastyga, szuranie stóp oraz szelest szat cichną, w miarę jak reszta zebranych nieruchomieje. Dopiero gdy w pomieszczeniu zapada całkowita cisza, podnoszę głowę i wbijam wzrok w kamienny cokół na środku kręgu.

Nie będę ściemniać – kiedy pierwszy raz zobaczyłam Starego Józefa, byłam nieźle spanikowana. Chwilę wcześniej przedarłam się przez las, kierując się ostatnią wskazówką znalezioną w bibliotece – była nią mała kolorowa kapliczka, stanowiąca część jednego z bibliotecznych witraży. Gdy stanąć pod odpowiednim kątem, o właściwej porze dnia, promienie słońca wskazują właśnie tę część lasu. Wszystkie wskazówki były równie enigmatyczne – właśnie po to, żeby nie każdy potrafił je rozgryźć – ale

mnie udało się je rozgryźć, a nawet pomóc trochę Kat i Taylor, które też znalazły zagadki na swoich poduszkach. Gdy odszukałam kaplicę, one też tam były. Puściłam je przodem, nie zdając sobie sprawy, co to będzie oznaczało, i podążyłyśmy za muzyką w głąb krypty. Nie byłyśmy pierwsze. Wręczono mi szatę i zaprowadzono na moje miejsce – przed nami dotarło do kaplicy pięć osób – a potem czekaliśmy, aż zapelni się reszta podestów.

Kiedy komnata była już pełna i zdjęliśmy kaptury, wyjaśniono nam, że kolejność, w jakiej tu przybyliśmy, będzie się przekładała na nasze miejsce w hierarchii stowarzyszenia. Marcus był pierwszym chłopakiem, który dotarł do kaplicy, a Morgan pierwszą dziewczyną. Natychmiast zostali zaprzysiężeni na prefekta i prefektkę naczelną, kolejne dwie osoby na ich zastępców, a reszta z nas została zwykłymi prefektami. Znalazłabym się nieco wyżej w porządku dziobania², gdybym nie puściła Taylor i Kat przodem.

Powracam myślami do teraźniejszości i znów skupiam wzrok na Starym Józefie. Im dłużej mu się przyglądam, tym bardziej fascynujący się wydaje. Spoczywa w swojej szklanej trumnie niczym jakaś makabryczna, średniowieczna wersja Królowy Śnieżki i tkwi w niej od początku istnienia Morton Academy. Niektórzy twierdzą, że pochodzi

² Porządek dziobania – obowiązująca w danym środowisku hierarchia osób (przyp. tłum.).

z Polski, inni, że z Niemiec, chociaż wszystko, co po nim zostało, znajduje się w tej trumnie, więc raczej już nigdy się tego nie dowiemy. Był kimś w rodzaju świętego, który trafił tutaj, kiedy założyciel szkoły potrzebował nowego i dziwnego eksponatu do swojego słynnego gabinetu osobliwości.

Przesuwam wzrokiem po szkielecie, wyobrażając sobie, że muskam palcami szorstki złoty brokat, którym owinięte jest każde pojedyncze żebro, naszywany drogocennymi klejnotami pas materiału zdobiący mostek nieboszczyka oraz wspaniałe kołnierze opasujący kośćistą szyję. Jego twarz zastygła w pośmiertnym grymasie, a czubek czaszki otacza wspaniała korona z ręcznie rżniętych kryształów osadzonych w złocie. Upięściennione dłonie szkieletu spoczywają na brzuchu – a przynajmniej tam, gdzie kiedyś znajdował się brzuch. Dolna połowa ciała ginie w mroku, spowita nadjedzonym przez mole aksamitem i cieniami.

– Pokłońcie się naszemu uświęconemu towarzyszowi, na cześć założyciela naszej szkoły.

Robię to zupełnie automatycznie, wypełniając polecenia bezcielesnego głosu, jak gdyby jego słowa opłotły mój kręgosłup i zmusiły mnie do zgięcia się wpół. Głos niesie się echem po komnacie, a ja pochylam tułów w głębokim ukłonie, usiłując nie wpaść do wody. Prostuję się i spoglądam raz jeszcze na Starego Józefa, szepcząc te

same słowa co reszta zgromadzonych, choć tym razem są skierowane w stronę grobu znajdującego się za trumną. To miejsce ostatniego spoczynku Patricka Mortona, założyciela i pierwszego dyrektora Morton Academy. Człowieka, który postanowił pomóc naprawdę bystrzym dzieciakom odnieść sukces, kontaktując ich z ludźmi gotowymi sfinansować ich edukację. Patrick Morton jest kimś w rodzaju bohatera Klejnotu i Kości.

– Dziękujemy ci, założycielu. Obsypujemy cię klejnotami i upamiętniamy cię kośćmi. Niech nam się wiedzie.

– Akolitko Asanti, wystąp! – woła głos dochodzący z podestu, który znajdowałby się na godzinie dwunastej, gdyby krąg był tarczą zegara. Jameela zstępuje na wąską kamienną ścieżkę łączącą zewnętrzny okrąg z wewnętrznym sanktuarium. Gdy tylko znajdzie się na wysepce, na której spoczywają szczątki założyciela szkoły, pada kolejny rozkaz: – Zdejmij kaptur.

Jameela jest ładna i drobna, przez co tonie w obszernej szacie. Taylor musi być niepokieszona. Jameela zakończyła podchody jako druga, więc teraz awansowała na prefektkę naczelną i będzie mogła wybrać dowolny uniwersytet. Naprawdę dowolny: Oxford, Harvard, UCLA. Nie musi się troszczyć o finanse, wszystkie koszty pokryją darczyńcy. Puszczam na chwilę wodze fantazji, wyobrażając sobie, że studiuje na Yale albo Cambridge

i za nic nie muszę płacić. Żadnych studenckich pożyczek ani pracy na pół etatu.

Wracam do rzeczywistości, obserwując uważnie, jak Jameela zdejmuje kaptur. Nie sposób odmówić jej inteligencji – jest kimś w rodzaju matematycznego geniusza, odkrytego w jakiejś zabitej dechami mieścinie. Nie cierpię matmy, za dużo liczb, za dużo logiki – wolę historię, odkrywanie powodów, dla których ludzie tworzą i zostawiają po sobie piękno, czy to w formie dzieł sztuki i architektury, czy po prostu dobrych opowieści. Może właśnie dlatego zachwycił mnie pomysł wstąpienia do tajnego stowarzyszenia – to jak znaleźć się na kartach niezapisanej jeszcze części historii.

Gładka, ciemna skóra Jameeli złoci się w migotliwym blasku świec, ale dziewczyna przygryza wargę. Jest zdenerwowana, a ja wiem, że Taylor krzyczy w duchu. Ona nigdy nie pozwoliłaby sobie na okazanie strachu. Emanowałaby opanowaniem i pewnością siebie, nawet gdyby wcale jej nie czuła.

A zwłaszcza wtedy.

– Akolitko Asanti, czy posłusznie obejmujesz upragnione stanowisko prefektki naczelnej? Pozycję, która umocni twój status nie tylko w Morton Academy i poza nią, lecz także wewnątrz Stowarzyszenia Klejnotu i Kości.

Jameela odchrząkuje.

– Tak.

– A zatem niech ci się wiedzie.

– Niech ci się wiedzie – powtarzam wraz z resztą zgromadzonych. Mam wrażenie, że staliśmy tutaj i uczestniczyliśmy w tym samym rytuale z Morgan w roli głównej całe wieki temu, choć tak naprawdę upłynęło zaledwie kilka tygodni. A dokładnie sześć. Może dlatego Jameela sprawia wrażenie zaniepokojonej – czyżby uważała, że to stanowisko jest przeklęte?

– Akolitko Fox, wystap.

Właśnie tak się to powinno robić. Nawet ubrana w szatę Taylor kroczy wąską ścieżką niczym supermodelka i staje obok wyższej rangą uczennicy. Zdejmuje kaptur i nawet z mojego miejsca dostrzegam błysk w jej oku oraz idealną kreskę eyelinera. Prostuję się lekko, dumna z przyjaciółki. Jest do tego stworzona.

– Akolitko Fox, czy pokornie obejmujesz stanowisko zastępczyni prefektki naczelnej? Pozycję, która umocni twój status nie tylko w Morton Academy i poza nią, lecz także wewnątrz Stowarzyszenia Klejnotu i Kości.

– Tak.

– Niech ci się wiedzie.

– Niech ci się wiedzie – powtarzam z uśmiechem. Mam ochotę klaskać, ale zbliża się najważniejszy moment.

– Czy obie jesteście gotowe złożyć przysięgę krwi?

– Jesteśmy.

Dziewczęta łapią się ze ręce, a postać, która przemawiała, schodzi ze swojego podestu i dołącza do nich. Z szerokiego rękawa wysuwa się lśniące srebrne ostrze, które zostaje wręczone Jameeli. Mogłabym przysiąc, że dziewczyna błednie – bądź co bądź robiła to już raz, kiedy latem została zaprzysiężona na wicenaczelną.

Taylor nie spuszcza głowy, gdy Jameela chwytą nóż. To dziwne ostrze, zapewne równie stare jak ciało, nad którym stoją, i równie bogato inkrustowane klejnotami. Jednak klinga jest naostrzona, co staje się jasne, gdy Jameela rozcina wnętrze swojej dłoni, a potem dłoni Taylor. Obie podchodzą do szkieletu i gdy szklana trumna zostaje otwarta, lekko chwytają go za kości ramion, rozsmarowując swoją świeżą krew na resztkach krwi pozostawionych przez setki swoich poprzedników i poprzedniczek. Przez Morgan.

– Szacowni akolici, proszę, powitajcie nową prefektkę naczelną Stowarzyszenia Klejnotu i Kości oraz jej zastępczynię. Jak wiecie, gwarantuje to wam prestiżowe pozycje w Morton Academy. Serdecznie gratuluję.

Oklaski i głośny wiwat, który mógł wydać z siebie tylko Marcus, niosą się echem po pieczarze, więc dołączam entuzjastycznie do aplauzu. Znów ogarnia mnie poczucie przynależności i przypominam sobie, jak potrafi uderzyć do głowy. Bez względu na to, co dzieje się poza tymi

murami, to miejsce należy do mnie. Jestem częścią czegoś wyjątkowego. Czegoś ważnego.

Jameela i Taylor obejmują się, a trzecia postać zsuwa kaptur, spod którego wysypują się długie, lśniące włosy, i doktor Patel, dyrektorka Morton, całuje dwukrotnie każdą z dziewcząt, raz w każdy policzek. Potem obraca się przodem do zebranych i unosi rękę na znak, żeby przestali wiwatować i zdjęli kaptury. Ściągam mój, jakbym była lekarzem zrywającym maskę po siedemnastogodzinnej operacji, i rozkoszuję się chłodnym powiewem muskającym mój spocony kark. Miejsce z mojej lewej strony jest puste, co oznacza, że Kat jeszcze nie wróciła z wakacji. Mam nadzieję, że nie będzie miała kłopotów z powodu opuszczenia pierwszego spotkania.

– Witajcie ponownie, akolici. – Doktor Patel zatacza krąg odebraną Jameeli klingą, a potem chowa ją, wciąż ociekającą krwią, w połach szaty. – Nasze pierwsze spotkanie w roku szkolnym jest zwykle krótkie, bo odbywa się pierwszego dnia po powrocie z wakacji. Jednak dzisiaj wyjątkowo musieliśmy je rozpocząć od zaprzysiężenia nowej pary. Na szczęście nasz prefekt naczelny i jego zastępca są tutaj z nami. – Doktor Patel kiwa głową najpierw Marcusowi, a potem Frankowi, którzy odpowiadają jej tym samym. – A teraz przejdę do normalnego porządku spotkania i zadam naszej nowej

prefektce naczelnej tradycyjne pytanie. – Obraca się twarzą do Jameeli, która przyciska gruby, zakrwawiony zwitek gazy do lewej dłoni. – Akolitko Asanti, czy chciałabyś się zwrócić do zebranych z jakąś sprawą?

– Tak.

Sądząc po szeptach obiegających kryptę, odpowiedź Jameeli zaskoczyła nie tylko mnie. Co takiego może chcieć omawiać na samym początku roku? Wiadomość?

– Rozumiem. – Ton głosu doktor Patel jak zwykle niczego nie zdradza. Tej kobiety nie sposób rozszyfrować. – Możesz zabrać głos.

– Dziękuję. – Jameela sprawia wrażenie nie tyle zdenerwowanej, ile przerażonej, gdy wyciąga spod szaty fald szaty świstek papieru. Odchrząkuje. – Dostałam to dziś.

To jest tamta wiadomość. Nachylam się nieznacznie do przodu.

– Nie chciałam w to uwierzyć, ale chyba nie powinniśmy tego zlekceważyć. – Podaje zmiętą kartkę doktor Patel, która odczytuje jej zawartość z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– To może być tylko chory żart – zwraca się do Jameeli.

– Może – zgadza się dziewczyna – ale Morgan była moją najlepszą przyjaciółką. Uważam, że powinniśmy potraktować to poważnie.

– Doskonale. – Doktor Patel oddaje jej świstek. – Możesz zwrócić się do zebranych.

Jameela przelyka z trudem ślinę i unosi zmiętą kartkę. W krypcie zapada cisza jak makiem zasiał.

– To... to jest zdjęcie. Zdjęcie Morgan. – Wytężam słuch, gdy ścisza głos. – Z wydrapanymi oczami. – Ze wszystkich piersi wydobywa się zbiorowe westchnienie, a Jameela odchrząkuje i czyta na głos z trzymanej w ręku kartki: – „Śmierć Morgan to nie był wypadek. Zginęła z mojej ręki. A ty będziesz następna”.

5

Ale mieli miny, kiedy wyciągnęła tamto zdjęcie! Lepiej się tego nie dało zaplanować. Ale zaskoczeniem był dla mnie fakt, że potraktowała to tak poważnie. A nawet upubliczniła. A chodziło tylko o to, żeby trochę nastraszyć tę gwiazdorzącą dziunię.

Z perspektywy czasu widzę, że przemawiała przede mną arogancja. Coraz trudniej mi opanować chęć robienia wszystkiego, na co tylko mam ochotę. Prawdę mówiąc, panie władzo, jest mi coraz trudniej powstrzymać chęć zrobienia wielu rzeczy.

Co teraz? Nie mogę pozwolić jej na zabawę w detektywa, zwłaszcza że ma poparcie całego stowarzyszenia. Choć to mogłoby być nawet zabawne... to był fatalny pomysł, żeby powiedzieć im o wszystkim. To była tylko próba nastraszania jej. Może wykurzenia ze szkoły. Nie miało jej spotkać nic... złego.

Ech, kogo ja próbuję oszukać. Oczywiście, że miało ją spotkać coś złego. Zatem Jameela. Ofiara numer dwa.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!
Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl